

# ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XVIII.

Warszawa, dnia 6 marca 1926 roku.

Nr. 10.

ALEKSANDER ALFRED KONAR.

POWIEŚĆ Z CZASÓW PRZEDWOJENNYCH

10)

## BEZ SERCA.

I pani Hela, choć postanowiła w Warszawie nie obcować na letnich wywczasach za granicą z ziomkami, których miała przez cały rok po szyję i, choć sama wybrała w tym celu (niby z rozkazu lekarza) miejscowość, najmniej w ostatnich sezonach przez ziomków uczęszczaną — poczęła teraz kwitować z kosmopolisu, jak lis z winogron, do których dostać się nie mógł.

I, choć ucieszyło ją skonstatowanie w wertowanych kurlistach braku ziomków z Królestwa — nie bez zadowolenia zauważyła kilka nieznanych jej nazwisk polskich. Rychło też zauważyła, przechodząc w spóźnieniu przez sąsiednią mniejszą jadalnię, całe bardzo gwarne towarzystwo, bardzo zżytych ze sobą dam i gentlemanów. Nie trudno jej też było rozpoznać w przelocie ich akcent, tak różny od wymowy stołecznej.

— To — kresy, Litwa, Ukraina, lub Galicja, — zawyrokowała — lecz w każdym razie nie Poznań i nie Królestwo.

Zauważyła też z drobiazgową kobiecą obserwacją, że pomimo pewnej prowincjonalnej zbyt zgiefkliwej dezynwoltury — ziomkowie posiadają pewność siebie nieskrępowanych miejskich parwenjuszów, lecz charakterystyczną u tak zwanego „wyższego ziemiaństwa“, stojącego hierarchicznie tuż, tuż przy hrabiach, ale jeszcze nie zupełnie.

Bo nie posiadają jeszcze wykwintu high-life'u, doprowadzonego do ogólnie europejskiej grandezzy wyższych sfer towarzyskich. A są jedynie wyrazem miejscowego dobrobytu uprzywilejenców losu, którym bardzo dobrze się dzieje na ich źle zagospodarowanych olbrzymich włościach przy bajecznie taniej robociznie i którzy dlatego ze swoją szlachecką rubasnością drwią sobie z Europy. A Europa protekcyjnie obserwuje z szyderczym zaciekawieniem tę sui generis egzotyczną dezynwolturę, nakazując we wszystkich kurhauzach całej kuli ziemskiej hojnym polakom drogo sobie płacić.

Lecz „wyższe ziemiaństwo“ miało jeden wspólny rys z rasową arystokracją: brak rasowości. Bo „klasowe“ konie arabskie i charty angielskie bez zastrzeżeń są piękne i jednolicie rasowe. A niedozorowana ludzka arystokracja z problematycznym niepokalaniami nie wyróżnia się niczem od mieszańców. Dość spojrzeć na uwieczniane w ilustracjach całego globu weselne grupy družek arcyksiężniczek angielskich, które aż rażą swoją wulgarnością i brzydota, podczas kiedy grupy baletnic tinglowych, których „ciotki rodziły“ — jaśnieją swoją rasowością 1-ej

klasy. Rodowa arystokracja twierdzi w tym ostatnim razie z przekornym tryumfem:

— O! Bo ojcami tych baletnic byli prawdopodobnie czystej krwi książęta!

A na to odpowiadają potwornym wulgarnym arcyksiężniczkom różni Millerowie i Pawlakowie:

— A więc wobec kategorycznego braku oznak rasy u was — należy przypuszczać, że waszymi ojcami byli lokaje.

Tak, tak. Bo jedynie w zaryglowanych hodowniach arabskich koni i angielskich chartów — wykluczona jest mieszanina. Dlatego czysta rasa istnieje tylko w stajniach i w oborach. Tylko tam jedynie nie spotyka się takich fizycznych pokrak, jak na dworach wielkksiążęcych i takich piękności, jak nieraz w suterynach, w cyrkach i na rogach ulic. Tylko tam jedynie rasowy pies nie szczeka, nie gryzie, a rasowy koń nie wierzga, podczas kiedy hrabiostwo nie jest wcale synonimem ani gentlemanstwa, ani urody. A piękność zarówno ciała, jak i duszy spotyka się zarówno w suterynach, jak w pałacowych loggiach.

Z całego grona society Szwajzerhofu zaledwie jedna utleniona rubensowska doletnia galicyjska hrabina, która najwidoczniej nie z jednego już pieca chleb jadła — wyróżniała się wśród swoich pokracznych towarzyszek wyglądem „nie do odrzucenia“.

Zauważono w Szwajcerhofie jej dość wyzywające spojrzenia, rzucane w stronę siedzącego naprzeciw przystojnego węgry, w którym z pod fraka cywila wyglądała dziarskość urlopowanego oficera, na co Węgień niezbyt subtelnie uśmiechami — nie siłąc się na wielką dyskrecję, odpowiadał hrabinie oczami — prosto z mostu:

— Czemużby nie? Przy okazji to może dojść do skutku. Miewałem do czynienia ze stokroć starszemi i brzydszemi kobietami. Tylko zbyt długich ceregieli nie lubię.

Pani Hela rozpoczęła societę galicyjską kokietować uprzejmymi uśmiechami rodaczki. Lecz wnet odczuła, że te jej konkury nie miały żadnego powodzenia. Odstąpiła jednej z pań w czytelnicy kurjera warszawskiego, na który dama odrzekła bardzo godnie bez uśmiechu:

— Dziękuję. Już czytałam.

Pani Hela pojęła to doskonale: Damy, pomimo jej gustu, genre'u, wdzięku, pomimo jej face à main, złotego Hachette'a — dopuścić jej do swego towarzystwa nie chcą.

— Cóż dziwnego? — spoliczkowana westchnęła z goryczą — kiedy ktoś nazywa się panią Knoffową — rzecz prosta, że bierze się ją za żydowicę.

Żałowała, że na kurlisście nie dopisała do swego ślubnego nazwiska — swego pochodzenia, prawdopodobnie drobnoszlacheckiego: née Środowiczówna.

Dnia tego pani Hela zapijała na koszykowym fotelu na tarasie Szwajcerhofu jak zwykle swoją wieczną filiżankę herbaty z truskawkową marmeladą. Dźwięki hotelowej muzyki powtarzały z uporem tresowanego gila codziennie wkoło też same wyjątki z ostatnich wiedeńskich operetek, grywanych o tejże godzinie we wszystkich badach na całej kuli ziemskiej.

Ta modna murzyńska piła wydawała się pani Heli ze swoją monotonią — ostrzem chirurga, dotykającego brutalnie rozognień jej duszy. A muskane okiem martwe drobne litery sylab dekoracyjnego tomu Hachette'a wydawały się jej małemi czarnemi robakami. Handra w piersiach jej, jak raniony zwierz na pustyni — wyła.

Od tygodnia (dopiero 8 dni — Jezus Marja!) pobytu w Szwajcarii, pomimo całodziennego obnoszenia tego tomiska reklamowanej przez Mercure de France powieści, w którą snobizm salonów ubierał się, jak w pawie piórka — pani Hela nie zdołała przeczytać dwudziestu kartek. A i z tych 20-tu symboliczno-syntetycznie nastrojowych kartek — ani 20 wierszy sensu nie zrozumiała.

Teraz w sam na sam ze sobą miała tej tandety udawanego zachwyty aż po dziurki w nosie. Zniemawiała ostatecznie swego Hachette'a, w którego jak w Bibi i we face à main ubierała się, aby wyglądać kulturalnie, a raczej dystyngowanie.

W swoim rozgoryczeniu i zdenerwowaniu miała teraz wrażenie, że bardzo głośno gwarzający opodal niej polski „monde” galicyjskich hrabiów i hrabin z „wyższego ziemiańskiego Podola i Ukrainy”

szczydzi z osamotnienia bojkotowanej warszawskiej zubożonej mieszczyki.

I z tak zwaną arogancją ludzi zranionych, robiących przez dumę *bonne mine à mauvais jeu* — pani Hela powstała z siedzenia i wraz ze swoim narzędziem dystynkcji — lornetką i z narzędziem kultury żółtym tomem Hachette'a (nagrodzonym przez *Mercur de France*), pozostawiwszy na stoliku nietkniętą filiżankę herbaty, sucharki, masło i marmeladę truskawkową, dążyła ku przystani jeziora, z której podług ubrylantowanego zegarka w jej bransoletce miał za 10 minut wyruszyć statek. Ten biały z pudełka wylukrowany statek wyruszał tak codziennie z pedantyczną ścisłością w *le tour du lac* po wyperfumowanym i słodzonym jeziorze, na którego martwych modrych aż do znudzenia falach groziły jej z nudów objawy morskiej choroby bardziej, niż śród najdzikszej furji huraganów Atlantyku.

Znowuż pogoda irytująco śliczna. Śród ciszy nieprzerwanej turkotem pojazdów, ani dzwonkami tramwajów — dobiegają niestety dźwięki z „Czardaszkii” ze Szwajcerhofu, przed którymi na statek uciekła. I pani Hela, usadzona na koszykowym fotelu, ustawionym na pokładzie — wpatruje się martwo w nudne, jak lukrecja, ozłoczone po jubilersku promieniami słońca i ocukrzony śniegiem — wierzchołki Rigi, Pilatus, Uri, Engelberg, przypatrujące się własnej piękności z kobiecą próżnością w lustrze ze szafirów jeziora Czterech Kantonów.

I pani Heli pękają szczęki od ziewania:

— Nie. To już ta ostatnia operetkowa burza na tym grzecznym pudełkowym z białej laki statku była nieco zabawniejsza ze swemi lilipuciami huraganami.

(D. c. n.).

## „ZE SPOTKAŃ”

(ZDARZENIE PRAWDZIWE).

Ciepły, zawsze jednakowy zaduch sypialnych wagonów... Rozkładam rzeczy. Wieszam palto, otwieram okno. Dobrze, że mam dolne miejsce.

Z peronu dochodzi miękki wiedeński gwar. Na korytarzu ktoś gniewa się po polsku. Niedługo pociąg ma ruszyć. Wtem do przedziału wpada zdyszana młoda osoba o bardzo czerwonych ustach, w skórzanym kapeluszu. Nachyla się — tylko co wyciągnęłam się na kanapie — i mówi prędko, tajemniczo, błagalnie.

Chodzi o ustąpienie mego miejsca komuś, kto jedzie bardzo daleko i ma chorą nogę, a właściwie nie ma jej wcale. Tylko trzeba udawać, że wcale swego miejsca nie ustępuję, że należy mi się górne.

Nic nie rozumiem, odmawiam. Sama jestem chora, muszę mieć więcej powietrza, nie mogę.

Niezrażona młoda osoba prosi, bym chociaż okazała pomoc. Wreszcie przyrzekam. Znika. Na pięć minut przed odejściem pociągu do przedziału wchodzi młoda i z profilu bardzo ładna — kobieta. Nie kuleje, nawet jest bez laski. Przeprasza mnie nie wiadomo za co, mimo bezładnych słów idzie od niej nieprzeparty urok, wypełnia wąskie długie pudło przedziału. Wzrusza.

— Czy pani pozwoli, bym stanęła przy oknie? mój mąż jest tak niemożliwie zdenerwowany!

Wychyla się przez okno i mówi do kogoś prawie cicho:

— Panie Fritz, niech pan mu nie pozwala urządzać widowiska, niech pan mu powie . . . . .

Jakiś starszy pan wyciąga rękę i klepie po obciążonych

rękawiczką palcach młodej kobiety, w pośpiesznej ostatniej pieszczocie.

Pociąg łagodnie rusza.

Młoda osoba ciężko i jakgdyby mimowoli siada. A starszy pan jeszcze idzie przy oknie.

— Pamiętaj z każdego większego miasta telegrafować. Z każdego!

— Dobrze, dobrze.

Pociąg już sunie szybko. Moja sąsiadka płacze cicho.

Poprawiam włosy, wyjmuję wodę kolońską. Gdy wsiedam do wagonu, zawsze mam wrażenie, że coś trzeba zrobić, czemś wypełnić pierwsze minuty szybkiego oderwania się od miejsca.

Nie umiem pocieszać nieznajomej i ładnej pani. Milczę.

Ona pierwsza zwraca się do mnie:

— Pani mówi po niemiecku? Mamy jechać razem całą dobę, — pani pozwoli, że się przedstawię: Vera Schmidt.

Nie wiem, czy jest bardzo ładną, czy też zupełnie brzydką.

Z profilu jest klasycznie piękna, ma prosty nos, pod łagodnym kątem łączący się z wysoko odkrytym czołem, okrągłą brodę, czysty owal i ciemny łuk gęstych, szerokich brwi. Włosy ma jasne, kręcące się na skroniach, spięte nisko w duży węzeł.

Gdy patrzę na nią wprost, cienki nos rozplywa się szeroko na boki, oczy są za małe i prawie bezbarwne, tylko białe czoło zachowuje wrażenie nieskalanej dziewiczości, nie mającej nic wspólnego z urokiem chłopięcym, dziś tak ulubionym.

Patrę na tę małą - ruchomą, spokojną, podskórnie smutną twarz i ciągle mi się wydaje inną. Nie umiem określić jej wieku — osiemnaście, dwadzieścia, może trzydzieści pięć lat? Ubrana dobrze. Ciemno - liljowy podróżny kostjum, krótka spódnica, sportowe brązowe pantofle.

— Przepraszam, że moje rzeczy zajmują tyle miejsca — mówi i głos jej łamie się trochę od ukrytego wzruszenia — jadę daleko, do Irkucka. Dlatego mój mąż był taki zdenerwowany.

— Jedzie pani na Syberję? Nie boi się pani?

— Nie, ja już niczego w życiu się nie boję.

Patrę na panią Schmidt z profilu i twarz jej piękna wydaje się srogą i niezrozumiałą. Lecz za chwilę zwraca oczy ku mnie i składając usta, jak dziecko, mówi nowym, czułym, pieśczośliwym głosem:

— W Irkucku mieszkają papa i mama, moi staruszkowie najdrożsi, chcę ich odwiedzić.

— Nie lęka się pani bolszewików?

— Bolszewicy są jak zwierzęta, — gdy się do nich zbliżyć bez strachu, nie ruszają. — Zresztą mam szalony przywilej kalectwa, a pozatem szczęście! Wszystko mi się wie dzie!

Uśmiech dziecięcy rozkwita na jej ustach i zapomniany, trwa długo . . . . .

— Ale pani podobno sama jest niezdrowa! Niech się pani zaraz kładzie! Jeśliby w nocy było pani niedobrze, proszę mi powiedzieć, mam krople. Pani pozwoli, że się tu rozbiorę, a potem wejdę na górę? Z tą moją nogą mam trochę kłopotu. Tak mi przykro, że moja przyjaciółka prosiła panią o jakies względy. Oni wszyscy zanadto o mnie dbają!

— Panią boli noga?

Teraz uśmiecha się nieomal z tryumfem.

— A co, pani nie zauważyła! Mam amputowaną nogę aż dotąd. Prawda, że dobrze zrobiona? To tylko w Niemczech w jednym zakładzie takie robią! Czy pani wie, że mogę nawet tańczyć? Dopiero od roku mam tę protezę, przedtem okropnie męczyłam się.

Wchodzi konduktor, zabiera bilety, obiecuje, że na granicy sprawdzą tylko dokumenty, a rzeczy rewidować nie będą.

— O tak, — prosi pani Schmidt, — w nocy trudno by mi było zejść na dół.

Teraz ja protestuję. Nigdy się nie zgodzę spać na dole. Pani Schmidt zżyma się, poważnie, blednie.

— Nie trzeba mi robić przykrości, nie lubię, gdy wytykają mi moje kalectwo. Zresztą wolę spać pod dachem wagonowym, mniej sły chać koła pociągu. To wszystko Emma nie mądra, ona kocha mnie więcej, niż siebie.

— Pozwoli pani cukierków? — proszę, mam ich tyle.

Uśmiecha się nieśmiało. Jemy cukierki.

— Musiałam panią uprzedzić, bo kiedyś jechałam z jedną panią, zdjęłam nogę i postawiłam w rogu. Ona zobaczyła i zemdlała, a mnie trudno było ruszyć się, by jej pomódz. Gdy jadę pociągiem, mam zawsze ten sam strach, że noga spadnie i rozleci się. Co wtedy?

Wstała szukając nesesera. Chciałam jej pomódz, ale znowu się uparła.

— Niech pani spojrzy, jakie doskonale urządzenie: noga zgina się w kolanie i w stopie, chociaż odcięta tak wysoko. Trzeba chodzić nerwami; to cała sztuka. Uczyłam się dwa miesiące. Najgorsze, że naciera prawie do krwi. Na to już niema rady.

Spytałam:

— Cóż za okropny wypadek spowodował to nieszczęście?

Łyknęła powietrza, wąską ręką potarła białe czoło, potem oczy podniosła ku okrągłej lampie elektrycznej i nie znalazłszy tam nieba, odrzekła powoli:

— Ach tak, okropny!

Odczułam moją niedelikatność. Ona zaś, jakby zdając sobie z tego sprawę, mówiła:

— Doskonale panią rozumiem. Na miejscu pani zrobiłabym to samo, bo kaleki lubią opowiadać o tem, „jak się to stało”. Stanowię wyjątek.

Mrugnęła kilka razy i znowu podniosła oczy w górę, lecz obrażony wzrok uciekł od granatowej, płóciennej powieki, zatrzymując się na mnie.

— Czy pani wierzy?

— W Boga?

— Tak, w Boga i w przeznaczenie; bo ja dawniej nie wierzyłam, raczej nie czułam, a potem... Wie pani, że to mój własny narzeczony zepchnął mnie pod pociąg, nie chcący naturalnie, nie chcący...

Przez sekundę, jedną sekundę, pani Schmidt ma oczy przerażone. Chowa się w kąt ławki, gdzie jest ciemno i okręca się szeleszczącym jedwabiem liljowego szlafroka. Ma wszystko liljowe. Jedyna lewa noga zwisa.

Nie spytam już o nic.

— Jechaliśmy z nim z Irkucka na letnisko do mego wujka, o pięć stacji. Było to już po rewolucji. W wagonach przepelnienie niesłychane; wtedy wszyscy potrzebowali gdzieś jechać. Staliśmy w przejściu między wagonami. On był bardzo zdenerwowany; irytowały go tłumy, nacierające ze wszystkich stron. Milczeliśmy. Było bardzo gorąco. Gdy pociąg był w ruchu, oddychało się łatwiej. Była to, jak dziś pamiętam, niedziela . . . . . A może pani nie chce słuchać? Cudze cierpienie wydaje się zwykle przesadne. Pociąg ruszał ze stacji, gdy drzwi wagonu otworzyły się i dziesięciu żołnierzy z tłumokami usiłowało przepchać się przez wąskie przejście. Drzwi naprzeciwko zacięły się. Ci, co byli z tyłu, naglili. Mój narzeczony uderzył któregoś i zachwiał się. Jedna noga mu się poślizgnęła. Popchnął mię, ja wypadłam, uderzyłam się głową, lecz nie straciłam przytomności. Wagony biegły nademną. Leżałam cicho, bojąc się oddychać. Rozumiałam, że znalazłam się pomiędzy szynami i że mi nic nie grozi. Zimno było i obojętnie. Wtem, zobaczyłam hak zwisający, który leciał na mnie; rzuciłam się w bok, by go uniknąć i wtedy ucięło mi nogę. Hak chwycił mię za pierś, rozdzierając ją, pociągnął za sobą, włosy się rozpuściły i zawięły w koło. To jedno, co naprawdę bolało. Wyrwało mi wszystkie włosy z korzeniami, a żwir zachodził pod skórę. Nie modliłam się, nie myślałam o niczem. Piekła mię strasznie głowa. Zaraz potem złamałam sobie rękę i kilka żeber. Było już wszystko jedno . . . . . Wtedy zatrzymano pociąg. Gdy odczepili mię od haka, odczułam pewną ulgę. Słyszałam, jak ktoś powiedział: „Nie warto wieść, i tak zaraz umrze”. Właściwie, straszne było tylko to, że ani na sekundę nie straciłam przytomności . . . . .

Pociąg stanął, pani Schmidt odchyliła sztywną firankę i wymieniła nazwę stacji.

— Niedługo granica; mam kilka pudełek cukierków nierozpieczętowanych. Chyba trzeba schować? Jak pani myśli, czy odbiorą?

Nie umiałam odpowiedzieć. Patrzyłam na podługowaty guzik od lampki i ciągle go chciałam pociągnąć, by w przedziale było ciemno.

Pociąg ruszył i pani Schmidt mówiła znowu:

— Właściwie to było straszne, że tego samego dnia moja siostrzyczka Ola ukłuła się w palec igłą i po trzech dniach umarła z zakażenia krwi. A ja wtedy dostałam tylko zapalenia mózgu i to mię uratowało. Inaczej nie byłabym zniosła tego bólu. Chorowałam jedenaście miesięcy. To już bardzo dawno, osiem lat temu. Dziś jestem bardzo zdrowa.

Więcej nie mówiłyśmy. Pomogłam jej wejść na górę i nareszcie zgasiłam światło.

W godzinę potem usłyszałam szept:

— Pani śpi?

— Nie.

— Wie pani, najstraszniejsze właściwie było to, że on, mój narzeczony, nigdy nie przyszedł mię odwiedzić. Nie zobaczyłam go już więcej. Mój mąż, to zupełnie kto inny . . . . .

Zapukano. — Granica. — Rewizja.

N. Drucka.

## CZARNE SKRZYDŁA.

Ksiądz zaczął kazanie. Nie z ambony, prosto od ołtarza, rozkrzyżowane ręce oparłszy na ofiarnym hafcie ubogich kobiet. Dawniej zamierzał inaczej rozłożyć program nabożeństwa, — przejść z ludem jeszcze raz całą drogę z hałdy do wsi i kazać z drewnianej wieżyczki, pod złoconym gołębkiem. Dla większej propagandy.

Po namyśle wydało mu się to wszystko niepotrzebne, słowa gnały tak wielce, że nie chciał tracić ani chwili. Gdy czytał ewangelję, panowała w ruderze cisza skupiona. Słychać było jękliwe przemykanie wiatru wokół węglów.

Gdy zaczął objaśniać pierwsze zdanie, daleko, za hałdą chyba wybuchło kilka okrzyków. Rozpłynęły się w powietrzu i zaraz w pobliżu zawiązało się nowe ich ognisko. I trzask drzewa, niby wyłamywanie płotu zmurszałego i jakiś spór wrzaskliwy i znowu jakieś gonitwy?!...

Ksiądz Kania głosił swoje, przekonany, że na dole przy torze kolejowym wynika zwykła bójka niedzielna. Słuchacze nie zwracali żadnej uwagi na te hałasy niewczesne, później dopiero mącić się zaczęło wśród ludu. Przybywały coraz nowe postacie i wszczął się ścisk.

Niktby już temu teraz nie mógł zaprzeczyć, — działo się coś na dobre, bitka, manifestacja, pochód, prześladowanie?!

Ktoś wrzasnął w pustem oknie „kontyny“ — Policja! Wojsko!..

Od ołtarza, wzdłuż całego klepiska, zawrzało jednym wielkim szumem. Ksiądz głosił swoje, — święte słowa ginęły już w ogólnym poruszeniu. Ludzie darli się i wyskakiwali jedni przez drugich. Wszystko waliło do wyjścia, przez drzwi, okna, tymczasem drzwi i okna pełne już były uciekinierów, którzy starali się ukryć wewnątrz szopy.

Tadeusz puścił Lenorkę i szarpnął się ku wyjściu. Dusiówna za nim. Wydostali się szczęśliwie na powietrze. Rozlegał się stąd widok bardzo niespodziewany —: Ze wszystkich stron płaskowzgórza hałdy pomykał naród spłoszony, nie wiedzieć przez kogo ścigany?! Rozmaici zbiegowie głosili rozmaite słuchy, z czego powstawało ogromne zamieszanie.

— Policja, — wojsko, — będą strzelać! A to znów, — że to tylko „Rzymianie“, podszczuci przez kanonika z Osady, a to jeszcze, — całą wioskę spalą, gdyż donos jest o broni, będą broni wszędzie szukać po chatach!....

— Gdzie tu jacy Rzymianie?! — wrzasnął Tadeusz.

— Nigdzie nie wyglądało na Rzymian. Ludziska miotali się dokoła w powszechnym płaczu, strachu i jazgocie, który mieszał się ze śpiewem chóru, owych kobiet i basów błędnych. Ksiądz Kania, widać, nakazał chór, — głosy niby modlitwa na tonącym okręcie płynęły równo wpośród powszechnego zamieszania.

— Rzymianie, rzymsko - katolicy, — odpowiedział Duś. Stał przy Tadeuszu, uspokajał ludzi, śmiertelnie blady, wpatrzony z pobłażliwym uśmiechem w Martyzela.

Martyzel Józef, strzałowy z kamieniołomów Erazma, — możnaby rzec, — stracił wszystkie klepki. Czepiał się futryn okiennych, podskakiwał, upadał, znów przybiegał ku drzwiom wejściowym, rozgarniał,

skubał ciżbę, — aby się przedostać do żony. Zgubił dzieci w tym ścisku, przedostać się nie mógł, tyle tylko, iż słyszał głos Martyzelki na czele kantaty po-bożnej.

Naostatek poniosło Martyzela ku brzegom hałdy, Duś zakręcił się na pięcie i znikł, Mieniewskiego tknęło nieprzyjemnie owo zniknięcie. Postanowił wyrazić to Lenorze, gdy z za tych właśnie brzegów hałdy ukazała się rzecz zdumiewająca!

Szeroko rozciągnięty łańcuch policji! Policjanci spychali ciżbę kolbami, szarpiąc kobiety, tłukąc pierzchających mężczyzn.

Tadeusz, wiedziony nałogiem starego żołnierza, zauważył po pierwsze, iż srebrne, błyskotliwe odznaki nie mają sensu w polu; po drugie, — model karabinów, — stary, austriacki.

Poniżej hałdy rozległa się chrypliwa komenda i doskonale znany chrzęst ludzi zbrojnych, rytmicznie wykonywujących rozkaz. Przez całe jestestwo Mieniewskiego jakoby ogień wionął. Odżyły wartkie wspomnienia wojenne. Bezprzykładna ironja następstw, czy przemian losu, — ledwie człowieku przeszedł „do cywila“, już idą na ciebie inni nowi żołnierze...

Dusiówna szarpała za rękaw, ciągnęła w tył, uciekający robotnicy potrącali, — nie zważał na to. Niby dowódca walczącego oddziału, objął okiem całą sytuację. Za kordonem policji przewalało się pospólstwo, wylęgłe powszędy, ciekawe widowiska.

Gwizd, wycie wyrostków pomieszane z okrzykami — Antychryst! Antychryst!!

Rzymianie!...

Łańcuch policji, otoczywszy hałdę, zwierzał się szczególnie. Krzyk wzrastał, poszczególne postacie wyznawców księdza Kani, trącane kolbami, padały na ziemię, jak worki.

Brakło Mieniewskiemu tchu w piersiach.

Naprzeciw tęgiego policjanta w granatowym płaszczu wyskoczył Martyzel. Pokorny, malutki, w ciemnych okularach.

„Wilk doków hamburskich“...

W ciemnych okularach, bez kapelusza, wyciągnął ręce przed siebie z widocznym zamiarem przemówienia. Zdażył nawet uśmiechnąć się mądrością tyłu przeczytanych sumiennie filozofów, — gdy rzut kolby zwałił go na hałdę.

Do padającego doskoczyli we dwoje, palacz Szymczyk z żoną, Szymczykową.

Skąd się wzięli tak prędko?!

Szymczykowa odleciała w bok, od jednego zamachu i plackiem padła na ziemię, Szymczyk runął na czworaki. Palacz stary, doświadczony, całe życie z ogniem mający sprawę, płakał, jak małe dziecko.

Tadeusz ruszył naprzód. Lekko, spokojnie, Pragnął przemówić. Bał się, że nie potrafi, zęby mu zgrzytały. Jeszcze raz uczepiła się go Lenorka. Trzepnął palcami po rękawie. Znikła. Wrzasnął donośnym, wytrenowanym głosem dowódcy baterji—: Stać!!!

Martyzel podnosił się właśnie. We wklęsłej garści trzymał czarne okruchy szkielec, druciane okulary zwieszały mu się z ucha, na ukos. Rozlane źrenice strzałowego patrzyły przed siebie niepewnie, — olśnione. Miał coś powiedzieć, gdy uwalony kolbą w piersi, padł na twarz. Zabrzmiało w nim donośnie, jak w głuchym pudle drewnianem. (D. c. n.).